

# Martyna 15

## Rozdział 15

*W którym Martyna zbawia świat*

Gdy kobieta w pewnym wieku zaczyna płakać i ronić obficie łzy, jej mózg gwałtownie szuka oparcia w najbardziej nawet absurdałnej, lecz optymistycznej myśli. Wszystko jest lepsze od zapuchniętych oczu i czerwonego nosa. Martyna szukała długo, lecz wszystko natrętnie kojarzyło się jej z wybuchem Ziemi, więc ostatecznie, by powstrzymać potok zdradzieckich łez, uczepiła się myśli tak groteskowej, że w kilka sekund oczy wyschły, a z ust wydobył się złośliwy rechot. Przytrzymała na chwilę pod powiekami malowniczy obraz mamusi bliźniaków, która każąc im ściągnąć portki, kolejno tłucze ich pasem po owłosionych tyłkach. Martyna wyprostowała się, beknęła donośnie i uśmiechnęła w stronę przyczajonych komputerów.

– Mam pomysł! – powiedziała radośnie, szczerząc zęby.

Wstała powoli z fotela i przesunęła się dwa kroki w prawo, koncentrując spojrzenie na porośniętym kurzem Macu. Przez chwilę wpatrywała się w jego ekran i obudowę, a po chwili kucnęła i zajrzała pod pulpit. Dołem kłębiły się kable, których przeznaczenie było kompletną zagadką. Przez chwilę Martyna żałowała, że nie podpytała bliźniaków o Ewę, ale jakoś się nie złożyło. Wzruszyła ramionami, wyciągnęła z kieszeni śrubokręt i wpełzła pod blat, krztusząc się kurzem.

– Ale co ty tam robisz właściwie? – zapytał z niepokojem Lewy.

– Naprawiam! – odkrzyknęła radośnie Martyna.

– Tego się nie da naprawić! – ze zgrozą wychrypiał Lewy.

– Słuchaj, miałam zapytać... – rozdarła się nasza bohaterka – co

się dzieje ze Środkowym? Milczy, nie komentuje, chory czy co?

– Obawiam się, że chory – powiedział Lewy, gorączkowo analizując dane

– Aha! – wykazała się współczuciem Martyna. – A co mu jest?

– Nie wiem dokładnie, ale wydaje mi się, że złapał wirusa.

– Nie sędzę. Gdyby Środkowy złapał wirusa, to już byś się pewnie zaraził– orzekła autorytatywnym tonem.

– Kurde, Martyna, przecież to nie grypa, no nie? – zaprotestował komputer i metalicznie zakasłał.

– A ja tam wiem? – rzekła na to filozoficznie Martyna. – Macie wspólne łącza internetowe, więc gdyby Środkowy podłapał zarazę, to ty też. Ja myślę, że to coś innego – dodała po chwili namysłu.

– Niby co? – zapytał zaintrygowany Lewy.

– Lucjan go programował, więc Środkowy jest na bank kapusiem. Teraz milczy, słucha i koduje – sapnęła Martyna i przesuwając się nieznacznie, podstępnie wyrwała kabel zasilający Środkowego.

– Cóż czynisz, nieszczęsna! – zawył melodramatycznie Lewy. – Teraz wszyscy zginiemy!

– Nie pękaj, chłopie – powiedziała kojąco Martyna, bezwiednie przypisując biedakowi męskie cechy. – Cóż właściwie mamy teraz do stracenia? – dodała filozoficznie.

– No... bardzo dużo – wtrącił Lewy wyjątkowo trzeźwym głosem. – Na przykład zasilanie!

– E tam! – popłynął spod blatu beztroski głos naszej bohaterki. – Dasz radę. Trzeba tylko w siebie uwierzyć, wiesz?

– Tak myślisz? – zapytał z zadumą Lewy.

– No pewnie! – potwierdziła Martyna. – Ty pilnuj zasilania, a ja się zajmę reaktywacją naszego Jabłuszka.

– A po co? – zdziwił się komputer.

– No jak to po co? – zachichotała nasza niedościgniona znawczyni komputerów. – Zamierzam odpalić pewną strategię ekonomiczną.

– Martyna! Daj spokój! – rzekł z drżeniem syntezatora Lewy. – Ty nawet nie wiesz, jaki to skomplikowany program.

– Ha! Właśnie dlatego jesteś mi potrzebny.– powiedziała pogodnie Martyna. – Sama sobie nie poradzę. Na początek wykaż odrobinę dobrej woli i przypomnij sobie, co Ewa zrobiła Macowi.

– Nie wiem dokładnie – zamyślił się Lewy. – Mój system był wtedy dopiero w powijakach, więc pamiętam to wszystko jak przez mgłę. Wydaje mi się, że do kokpitu wpadła blondynka i wrzeszczała coś o manipulacjach i prezydenckich bubkach. Potem dopadła do Jabłuszka, próbowała wpisywać jakieś polecenia, ale Prawy kompletnie to olał. Ewa się wnerwiła i zaczęła krzyczeć, że on się nadaje tylko do horoskopów, i histerycznie zażądała przepowiedni na następne lata. Środkowy się wkurzył i coś tam jej dogadywał, więc kobita z furją wyrwała mu wtyczkę i odcięła od zasilania. Wrzeszczała przy tym, że przez takie idiotyczne maszyny jej świat się chwieje w posadach. Myślisz, że wypaliła za dużo zielska i głupoty gadała? – zapytał trwożliwie Lewy.

– Nie sędzę. Podejrzewam, że dokładnie wiedziała, o czym mówi – skwitowała Martyna. – I zapewne miała rację.

– No, ale Środkowy... – zaczął z wahaniem Lewy.

– Środkowy to kapuś, którego jedyną funkcją było kontrolowanie całego systemu i wprowadzanie w życie chorych

wizji Lucjana – powiedziała stanowczo Martyna. – Zobacz! Wyłączyłam gada i jakoś nic złego się nie stało.

– No niby fakt, ale moje dane ciągle wariują – szepnął komputer.

– Podejrzewam, że odczuwasz coś w rodzaju pustki, podobnej do ulgi po wyrwaniu bolącego zęba – zarechotała Martyna spod blatu.

Lewy przemilczał optymistyczny komentarz Ziemiarki i pogрузył się we własnych danych. Martyna w tym czasie zdołała rozwikłać kable i identyfikując ich końcówki, powtykała je we właściwe miejsca. Wyszczrzyła zęby i z niekłamana satysfakcją wypisaną na zakurzonej twarzy wygramoliła się spod zwałowiska przewodów.

– No! – powiedziała. – Albo wybuchnie, albo się włączy. Żartowałam! – zawołała pośpiesznie, widząc, że Lewy zaczyna automatycznie uruchamiać program ewakuacji.

– Zapamiętaj sobie na przyszłość, że my, komputery, nie znamy się na żartach – odparł sztywno Lewy.

Martyna puściła tę uwagę mimo uszu i skoncentrowała się na ekranie Maca, który zaczął obiecująco migotać. Twardy dysk, nieużywany od bardzo dawna, rzeził z wysiłkiem, lecz ani na chwilę nie zamilkł, co było wielce obiecującym znakiem. Nasza dzielna informatyczka zasiadła wygodnie w fotelu i strzepując z siebie beztrosko kurz na klawiaturę Środkowego, wpatrywała się z nadzieją w monitor Jabłuszka.

– Ty, patrz! – radośnie ryknęła po chwili do Lewego. – Obudził się, skubany!

– Odbieram jego natarczywą obecność wszystkimi sensorami – prychnął nadal naburmuszony

komputer.

Jabłuszko budziło się po długim, ponaddwuzięstoletnim śnie i z trudem uruchamiając wiatracy, zameldowało swoją przytomność świetlistym komunikatem.

– „Podaj hasło” – przeczytała na głos Martyna. – Kuźwa, no to mamy problem. Na was wystarczyły srebrne kluczyki Lucjana, a jemu jakieś hasło potrzebne? – dodała poirytowana.

– A co się tak dziwisz? Cały syf i wszelkie potencjalne kłopoty, jakie ciągną się za nim, są chyba wystarczającym powodem do tego, żeby mu założyć solidne hasło.

– Solidne, powiadasz? – stropiła się nasza bohaterka, drapiąc się z zadumą po rozczochranej łepetynie i zaczęła gorączkowo stukać w klawisze. Wpisywała kolejne hasła, z których jedynie „RAJ3.14” i „QWERTY” miały jakieś logiczne uzasadnienie. Martyna mruczała niewyraźnie pod nosem szalenie parlamentarne, z perspektywy jej czasów, słowa.

– Martyna! – wtrącił się w pełny napięcia stukot Lewy. – Daj se spokój, dobra?

– Cicho bądź! – zgasiła go niecierpliwie Martyna.

– Ale słuchaj...

– To ty słuchaj! Znajdę to hasło, choćbym miała tu całą noc siedzieć. I lepiej mnie nie zniechęcaj, bo to, że ty go nie znasz, nie oznacza, że mój ziemski i unikalny umysł nie ustawi kilku właściwych literek we właściwym porządku – dodała chełpliwie.

– Ale ja znam to hasło! – powiedział Lewy, tłumiąc litościwie zgrzytliwe paroksyzmy śmiechu.

– Znasz? – Martyna wpatrzyła się zbaraniałym wzrokiem w migoczący monitor Lewego, po którym hasały wirtualne motylki.

– Znam! Wpisz: „najwazniejszyszef” – zachichotał komputer

mechanicznie i wycofał z monitora motylki, zastępując je jaskrawo roziskrzonymi na granatowym tle literami hasła.

Martyna mrucząc coś, co przy odrobinie dobrej woli można by przełożyć na: „dziękuję bardzo”, rzuciła się pazernie na klawiaturę i dwukrotnie usuwając literówki, wprowadziła podane hasło. Jabłuszko zamigotało ponownie i z triumfalną fanfara odpaliło nowe okno, w którym jak wół stało: „Witaj, graczu! Podaj login i hasło lub rozpocznij nową grę!”. Oczywiście poniżej komunikatu znajdowały się odpowiednie ikony, więc nasza graczyka kliknęła w opcję: „Saved games”, nawet nie bardzo się dziwiąc, że oprogramowanie F.I.U.T.E.K. również preferuje angielszczyznę.

Po kilku sekundach komputer z wysiłkiem wyświetlił przed jej oczami wachlarz możliwości:

1. tataszef.gra
2. Lucek.gra
3. lucekgady.gra
4. lucmalpa.gra
5. mlody1.gra
6. mlodynowe.gra
7. mamameteoryt.gra

Martyna przez chwilę walczyła z pokusą spenetrowania rozgrywki tajemniczej mamuśki, lecz rozsądek podpowiadał, że dla jej celów najważniejsze jest w tym momencie odpalenie chorej układanki Lucjana. Kliknęła dwukrotnie w plik „lucmalpa.gra” i bez wysiłku złamała hasło, które musiało brzmieć: „MARTYNA”. Przed jej oczami rozwinęła się kolorowa kula ziemiska i mnóstwo funkcji upchniętych w tajemniczych ikonkach po obydwu stronach wirującego majestatycznie wirtualnego globu. Pozorny spokój gry momentalnie nasunął na myśl naszej bezdomnej Ziemiance kadry z audiotele Magdusi. Martyna przez dłuższą chwilę rozgryzała ustawienia i opcje, by dojść do wniosku, że gra Lucjana zatrzymała się na epoce kamienia łupanego.

Wycofała się więc do głównego menu i spróbowała wejść w grę Młodego. Uporczywie wyświetlane hasło, którego nasza dzielna graczyka nie była w stanie złamać, sprawiło, że Martyna, bluzgając siarczyście, kliknęła dwukrotnie w plik „Lucek.gra” i bez wahania wstukała swoje imię. Jak się okazało, drogi Lucjan ponownie wytarł sobie gębę naszą bohaterką, więc wejście w grę nie nastęrczało żadnych trudności. Po kilku sekundach ciężkiej pracy Jabłuszka przed Martyną ukazała się znajoma Błękitna Planeta, oblepiona z obydwu stron monitora różnokolorowymi ikonkami. Data wyświetlona w lewym górnym rogu dobitnie potwierdziła fakt, że Martyna znalazła się we właściwej grze. Jedną z pierwszych ikonek, które rozpracowała, był nakierowany na jej szkołę zoom. Odczuwając swoiste *déjà vu*, nasza bohaterką uśmiechnęła się do starych, odrapanych korytarzy, lecz nie znajdując sensu w kontynuacji gry, która – zgodnie z „Trąbą Jerychońską” – była skazana na niepowodzenie, podjęła karkołomną próbę cofnięcia wyroku wydanego na jej planetę przez matkę diabelskich bliźniaków.

Wzdychając ciężko, Martyna ponownie wycofała się do menu i kliknęła w opcję „Nowa gra”. Po chwili przed jej oczami pojawiła się pocziwa planeta, całkowicie błękitna, choć w opcji zoom dało się zauważyć niewielkie skrawki lądu, niemal doszczętnie wyjałowione i tylko miejscami porośnięte gigantycznymi wodorostami, które w wyraźny sposób mizerniały w rozgrzanym do czerwoności słońcu.

Planeta nie zdradzała nawet śladu życia, co zostało potwierdzone w stu procentach przez skaner, który Martyna odkryła w zbiorowisku ikon po prawej stronie.

– Lewy, podaj mi prawdopodobną datę powstania życia na Ziemi, według Internetu z mojej rzeczywistości – zadysponowała, nie odrywając wzroku od monitora Jabłuszka.

– Brak spójnych danych! – zakomunikował po chwili komputer.

Martyna myślała przez chwilę intensywnie, irytująco stukając przy tym pazurami w blat.

– Lewy, podaj mi orientacyjną datę powstania łądów.

– Istnieje kilka hipotez, ale żadna nie jest wiarygodna – zameldowała słuźbiście maszyna.

Nasza ignorantka zakłęła pod nosem i skoncentrowała wzrok na wielce interesującej ikonke z wizerunkiem zielonego kwadratu.

– Lewy, podaj mi orientacyjny czas powstania pierwszych roślin – zażądała z pewnym ozywieniem.

– W karbonie – rzucił lakonicznie komputer.

– Ja też cię mam w karbonie! – zripostowała błyskotliwie nasza intelektualistka i powróciła do studiowania zawartości programu. Po chwili namysłu ostrożnie kliknęła w zieloną ikonkę i wpatrzyła się z zadowoleniem na komunikat: „Właśnie zamierzasz stworzyć łąd”.

– Ha! – powiedziała z satysfakcją i niekłamana dumą. – No to teraz sobie stworzymy łądy!

– Martyna, no co ty? – Weź no lepiej nie kombinuj, bo zrobisz jeszcze większy syf! – Lewy był wyraźnie zaniepokojony.

– Lewy, podaj mi... – zawiesiła głos Martyna.

– Co znów mam ci podać! – gderliwie ponaglił komputer.

– Piwo mi podaj. Do tego świetnie się nadajesz! – zarechotała nasza zbawicielka, rysując z mozołem kontur Afryki.

– Słuźę uprzejmie! – obraził się Lewy i wydał stosowne dyspozycje do kuchni.



Piwo, co trzeba przyznać, bardzo się przydało, bo Martyna po stworzeniu obydwu Ameryk i części Azji lekko zbaraniała, zabierając się do szkicu swojego macierzystego kontynentu. Jak to zwykle bywa, to, co jest pod nosem, umyka, i nasza bohaterka, próbując sobie przypomnieć kontur Europy, zamarła na chwilę, by po chwili otworzyć browar, który zazwyczaj korzystnie wpływał na jej koncentrację. Tym razem nawet to nie pomogło. Geograficzna ignorancja naszej byłej uczennicy wypłynęła właśnie w całej krasie na światło dzienne i nie pozostawało jej nic innego niż kapitulacja przed zasobami Lewego.

– Pokaż no mi mapę Ziemi, kochaneczku – powiedziała z pewnym ociąganiem i udała, że nie słyszy metalicznych i tłumionych parsknięć śmiechu.

Teraz poszło znacznie lepiej i po paru łykach piwa okazało się, że kontynenty prezentują się całkiem przyzwoicie. Ich wadą było jedynie to, że wszystkie były załośnie płaskie i całkowicie pokryte soczysta zielenią.

– Nic się nie dzieje bez przyczyny – powiedziała sentencjonalnie Martyna, przyglądając się

krytycznie swojemu dziełu.

– Jeśli mogę coś powiedzieć – wtrącił się Lewy – to w prawym górnym rogu znajduje się ikona kataklizmów.

Nasza bohaterka skupiła wzrok na papuziej feerii ikon monitora i po chwili jej jastrzębi wzrok wyłowił tę oznaczoną złocistym i schematycznym rysunkiem piorunu. Kliknęła w nią bez zbytecznych ceregieli i przed jej oczami rozwinęła się wielce obiecująca lista możliwości.

Lista możliwości:

– potop

– trzęsienie ziemi

- susza
- ruchy tektoniczne
- pożary
- meteoryty
- zlodowacenia

Węsząc trop, Martyna weszła w opcję „meteoryty” i odnajdując rubryki, w których system prosił o podanie trajektorii, siły rażenia i innych danych, które były kompletnie dla normalnego ziemskiego ignoranta niezrozumiałe, wycofała się pospiesznie, gratulując sobie, że zna zastosowanie powszechnie używanej, skierowanej w lewą stronę zielonej strzałki. Myśl prędką jak błyskawica przegalopowała przez nieprzeciętny umysł naszej zbawicielki i eksplodowała całkowitym zrozumieniem stylu prymitywnego działania matki upiornych bliźniaków.

- A pies ją srał! – skomentowała głośno i wulgarnie.
- A kogo? – zagaił uprzejmie Lewy.
- A tę babę głupią! Matkę tych dwóch idiotów! – sapnęła ze złością Martyna. – Jej kurzy mózdzek pewnie nie ogrania nawet Onetu, a co dopiero trajektorii lotu meteorytów. Klikała, klikała, aż w końcu wysadziła wszystko. I pewnie nawet o tym nie wie! A ja teraz kłopot mam!
- Nie sądz swoją miarą – skomentował nieprofesjonalnie Lewy.
- Czyli jak? – zapytała lodowatym tonem Martyna.
- Pani prezydentowa jest z wykształcenia fizykiem jądrowym... – wyjaśnił nie bez satysfakcji komputer.
- No i tego właśnie mogłam się po niej spodziewać! –

prychnęła pogardliwie nasza wielbicielka nauk ścisłych. – Tacy to nie mają nawet odrobiny wyobraźni i wyliczają sens istnienia za pomocą debilnych wzorów. Tak jakby bez tego jabłka nie umiały spadać z drzewa. – warknęła nastroszona i zapytała retorycznie: – Jaki jest sens w zajmowaniu się takimi pierdołami? Nie lepiej polecieć w ciepłe kraje, usiąść pod palmą i otworzyć browarek? Albo puścić sobie muzyczkę z kompa i pograć w fajną gierkę?

– A samoloty, komputery i puszki aluminiowe to pewnie sobie powstały ot tak, w toku ewolucji? – zarzął otwarcie Lewy.

– Dobra, weź no ty się nie mądrz, tylko odpal jakieś bryki z geografii, żebym nie pomyliła kolejności kataklizmów – ucięła.

Komputer zaczął posłusznie wypluwać dane, a nasza stwórczyni, wysuwając w skupieniu koniuszek języka, precyzyjnie poddawała zielone płaskie kontynenty niszczycielskim zabiegom. Jej pełne satysfakcji okrzyki niosły się echem po kokpicie i miały ścisły związek z niszczycielską działalnością żywiołów wszelakiej maści. Od wypiętrzenia gór i kontrolowanych potopów Martyna przeskoczyła zgrabnie do bakterii i innych pierdół i mocno znużona beznadziejnie powolną akcją gry, ustawiła maksymalną prędkość. Przed jej czerwonymi z niewyspania oczami przewijały się dziwaczne stworki, które w ekspresowym tempie wylazły z oceanów i rozpanoszyły się po lądach i w przestworzach. Naszej ignorantce kompletnie nie przeszkadzał fakt, że wyszczerbiła parę łańcuchów pokarmowych, nie wspominając o tym, że macierzystym lądem ogromnych gadów stały się współczesne kontynenty. Możemy w tym miejscu podjąć jednak próbę usprawiedliwienia Martyny, ponieważ wtedy, gdy jej nauczycielka geografii przerabiała lekcję pod tytułem „Pangea”, nasza nieletnia wówczas bohaterka, uzbrojona w gencjanę, walczyła dzielnie z ospą w domowych pieleszach.

Jakby nie było, to w ostatecznym rozrachunku i tak się wszystko wyrównało, bo Martyna przy pomocy Lewego wyliczyła skrupulatnie trajektorię i siłę rażenia kilku meteorytów, które precyzyjnie odpalone w kierunku wizjonerskich lądów, skutecznie wyeliminowały gadzi problem. A zresztą, kto wie, jak było naprawdę? A co, jeśli nasza zbawicielka z przypadku miała rację, twierdząc, że intuicja i ślepy traf są więcej warte od ścisłego stosowania bezdusznych procedur? I wreszcie, czy ktoś na ostatnich kilkudziesięciu stronach sugerował, że intencją naszej bohaterki jest stworzenie wiernej repliki rzeczywistości, w której przyszła na świat? Gdyby Martyna choć na moment oderwała się od poukładanych w perfekcyjne rzędkie ikon, zapewne wyliczyłaby mrowie wad swojego ułomnego świata, który przeplatał się w czasie z miliardem równie ułomnych alternatyw. Szczęście jest sprawą subiektywną i tym zapewne kierował się każdy ze strategów pokonujących kolejne etapy gry w Ziemię.

– Stop! – ryknęła z mocą nasza bohaterka i kliknęła gwałtownie w opcje, wyhamowując tempo gry.

Jej uwagę przykuły człękoksztaltne, które, jak pamiętała, Lucjan wyposażył w geny swojej rasy. Kusiło ją, żeby pozostawić mały w spokoju i cierpliwie poczekać, aż same odnajdą w swych włochatych mózgach znamiona człowieczeństwa, ale za szybami kokpitu rodził się światłem dwóch gwiazd kolejny dzień i Martynie zwyczajnie zabrakło cierpliwości. Nie wiemy, czy słusznie i czy olanie sierściuchów doprowadziłoby je do garniturów, wojen i wyścigu szczurów, lecz brzask skutecznie usprawiedliwił naszą bohaterkę, która ziewając potężnie, kliknęła w ikonkę z wizerunkiem strzykawki kryjącej w sobie, zgodnie z jej oczekiwaniami, genetyczne bogactwo.

– Lewy, powiedz no mi, czy ty masz mój genotyp na składzie? – zapytała obojętnie.

– Oczywiście! Przechowuję wszystkie dane! – odparł słuźbiście Lewy i bez wahania dodał. – Wystarczy skorzystać z toalety...

– Liczę na to, że mnie uprzedzisz, jak się okaże, że w ciąży jestem – przerwała mu zgryźliwie Martyna. – Dawaj mi tu mój genotyp, jak już mam coś z małpami mieszać, to lepiej niech to będzie człowiek, a nie orangutan – podsumowała złośliwie.

– Służę uprzejmie, lecz muszę dodać, że twój genotyp ma ścisły związek z próbkami pobranymi od Lucjana! – napomknął Lewy.

– W dupie to mam! Najwyraźniej materiał przerósł dawcę i uważam, że mimo wszystko nie ma sensu zaszczepiać człekokształtnym małpich genów – powiedziała lekceważąco nasza genetyczna ignorantka.

– Jak sobie chcesz – odparł z rezygnacją komputer.

Dalej gra potoczyła się w oszołamiającym tempie. Przed oczami Martyny migały kolejne przemiany: jaskiniowcy przeobrażający się w dzielnych rolników okupujących drewniane kurne chaty, rozrzucone po wszystkich globach prymitywne plemiona, lokalne konflikty i palenie wiosek. Nie pojawiały się natomiast krwawe globalne wojenki, których mgliste wyobrażenie nasza bohaterka nosiła skrzątnie upchnięte w wacie traumatycznego wspomnienia lekcji historii. Świat parł ku cywilizacji, lecz w leniwym, jednostajnym tempie.

– Wojnę zrób, babo głupia! – nie wytrzymał nerwowo Lewy.

– A po co? – zapytała zdumiona Martyna, zapominając z wrażenia obrazić się za głupią babę.

– A jak wykarmisz to towarzystwo? Masz świadomość, ile się tego tam namnoży, jeśli ich trochę nie przetrzebisz?

– Wystarczy wyprodukować więcej żarcia! – odparła

pogodnie nasza świeżo mianowana ekonomistka. Dorobimy trochę pól i zagród, zasadzimy sady i powinno być w porządku.

– Martyna! – jęknął ze zgrozą Lewy. – A co z miejscem? Masz, do cholery, tylko sześć kontynentów i jeśli nie będziesz kontrolować liczebności populacji, to niedługo wytną wszystkie lasy, żeby chałupy postawić.

– Się zagospodaruje Antarktydę – powiedziała odkrywco nasza bohaterka. – Spuścimy meteoryt, potem jakieś pożary i się klimacik ustabilizuje.

– Jak rozpuścisz Antarktydę, to wywołasz niekontrolowany potop – zgorszył się jej beztroską komputer.

– Aha! – wykazała się zrozumieniem Martyna. – No to zrobimy to po babsku!

Wyprostowała się z ożywieniem na fotelu i bez wahania kliknęła ponownie w ikonę ozdobioną schematycznym rysunkiem strzykawki i zagłębiając się w opcję „osiągnięcia medycyny”, wynalazła szybko piguły antykoncepcyjne. Zadowolona z siebie, zaaplikowała planecie panaceum na wszelkie lęki i troski i triumfalnie powiodła spojrzeniem po monitorze Lewego.

– I co? Musi być wojna? – zapytała wyzywająco.

– Musi! – odparł stanowczo elektroniczny dupek. – Zapomniałaś o tym, że wojny napędzały postęp. To dzięki wojnom rodziły się nowe technologie. Nawet głupiego brązu byście nie wynaleźli, gdyby nie one!

– Spoko! – machnęła lekceważąco ręką Martyna. – Pomyślałam o tym! Ponieważ w mojej rzeczywistości faceci są partnerami, a nie panami, więc cały swój twórczy potencjał kierują w stronę produkcji biżuterii i garnków. Nic się nie bój, będzie dobrze!

Martyna poczuła, że moc stwórcza zdecydowanie ją

opuszcza, więc przyspieszyła proces, jednocześnie ponagłając Lewego, by dostarczył kawę. Jej planeta dobijała właśnie do lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, więc nasza bohaterka wcisnęła pauzę i z zadumą wpatrywała się w powierzchnię globu. Pierwszą rzeczą, która rzuciła jej się w oczy, była soczysta zieleń oplatająca wybrzuszone opcją wypiętrzeń kontynenty. Klikając w zoom przecierała oczy ze zdumienia, gdy zamiast monumentalnych socjalistycznych blokowisk ujrzała w rodzinnej dzielnicy oplecione winoroślą i krwistymi różami domki zatopione w kwadratowych połaciach trawy. Szare były jedynie wysuszone majowym słońcem ulice i gołębie kąpiące się w przydomowych szmaragdowych oczkach. Siermiężny socjalizm najwyraźniej nigdy nie nadszedł, bowiem budynek szkoły osadzony w tej sielskiej scenerii uśmiechał się barwami ścian.

Martyna, kompletnie zbaraniała, wpatrywała się w szkolny dziedziniec i z nieśmiałym uśmiechem nabierała wiary w sens zarwanych nocek i wypitego browaru. Jej sielskie, jakże różne od poprzednich wspomnienie zaćmiło nagłe rozpoznanie.

– O żesz ty w dupę! – wrzasnęła znienacka.

– Ale co? Ale jak?– zgrzytnął wyrwany z Kurnika Lewy.

– No patrz! Daruś środkiem dziedzińca idzie. Zgubił okulary i chyba płacze! – relacjonowała Martyna. – A teraz jakaś dziewczynka do niego podchodzi...

W Martynę jakby piorun totalnego zrozumienia trzasnął. Zerwała się na równe nogi i podbiegła do

Lewego.

– Natychmiast mnie tam przenieś! – zażądała.

– A ty myślisz, że to takie proste jest? – zapytał ze znużeniem komputer.

– A gównu mnie to obchodzi! – wrzasnęła nasza podróżniczka w czasie, zgarniając z blatu śrubokręt i demonstrując Lewemu jego ostrą końcówkę.

– No dobra, już liczę! – zgodziła się nerwowo maszyna.

– Chcę skoczyć na pięć minut przed rozpoczęciem tej przerwy – zadysponowała wyniośle Martyna.

– Nie da się! – pisnął ze strachem Lewy. – Możesz skoczyć dokładnie do chwili, którą w tej chwili

widzisz.

Martyna wytężyła wzrok i ujrzała swoją młodocianą kopię, dużo lepiej odzianą, która właśnie podnosiła okulary i troskliwie wycierając je o własny sweterek, nasadzała je delikatnie na rozbity nos Darusia.

– Stop! – ryknęła w desperacji i uderzając w spację Jabłuszka, zatrzymała bieg historii. – Wyślij mnie właśnie tam! – zażądała.

Lewy najwyraźniej bał się podjąć jakąkolwiek polemikę, bo bez dyskusji wyliczył dane i po chwili Martyna poczuła znajome szarpnięcie w pośladkach. Zbliżała się nieuchronnie do niewinnego spotkania dwojga kulawców, które zaowocowało późniejszą eksplozją Ziemi.

Twarda nawierzchnia dziedzińca szkolnego sprawiła, że Martyna nie wylądowała tak profesjonalnie, jakby chciała. Czując, jak omiatają ją wścibskie i czujne oczy gówniarzy, poderwała się z obolałych kolan na równe nogi i od niechcienia otrzepując nogawki wysłużonych i lekko wilgotnych bojówek, czujnie się rozglądała wokół siebie. Daruś stał kilka kroków od niej i uszczęśliwiony poprawiał odzyskane okulary, odprowadzając wzrokiem chudą dziewczynkę, która w podskokach wbiegała na schody wiodące do drzwi wejściowych. Martyna miała świadomość,



że jeśli nie dorwie swojego młodszego wcielenia przed przestąpieniem przez nią wrót szkolnych, żadną miarą nie dostanie się do środka. Niezależnie do epok, zawirowań czasowych i układów politycznych przy wejściu stał cerber, pani Czesia, niezłomnie trwająca na straży porządku. Nasza bohaterka, nie znajdując innego rozwiązania, wbiegła za swoim młodszym wcieleniem aż do szczytu schodów i podjęła desperacką próbę nawiązania kontaktu.

– Martyna! – krzyknęła Martyna, z nadzieją że mała Martyna zareaguje na jej wołanie.

Dziewczynka odwróciła się zdziwiona i napotkała spojrzenie swoich piwnych oczu, wyblakłych nieco i wytłumionych petardą puszek piwa. Były to jednak ciągle te same oczy i dziewczynka zamarła w oczekiwaniu. Jej badawczego spojrzenia nie zdekoncentrował nawet natarczywy dźwięk dzwonka, który poderwał do góry strumień dzieciaków, obecnie podążających w stronę drzwi wejściowych. Ich rwący nurt rozdzielał się zniechęca na dwie odnogi, które z bezwiednym szacunkiem omijały maleńką wyspę osłupienia.

– Musimy pogadać! – wrzasnęła duża Martyna, starając się przekrzywić rwetes szkolnych korytarzy.

– O czym? – zapytała ostrożnie mała Martynka.

– Kochanie, musisz uciec od Darusia, bo jeśli tego nie zrobisz, to kiedyś Ziemia wybuchnie! – odparła mało dyplomatycznie nasza bezdzietna bohaterka.

– Z cyrku się urwałaś? – zapytała rzeczowo i trzeźwo mała Martynka.

Nasza zblazowana trzydziestolatka cmoknęła z uznaniem i rozpląnęła się w wewnętrznych zachwytach nad intuicją i rozsądkiem swojego szkolnego wcielenia.

– Moja krew!

– Pani jest moją krewną? – zaszczekało bezczelne szczenię.

– Dzieciaku, ja nie wiem, jak mogę cię przekonać, że jestem tobą, ale musisz zrozumieć jedną rzecz, zanim zniknę: nie wolno nam się zaprzyjaźnić z Darusiem. Obiecuj kochanie, że nigdy nie polubisz Darusia! Błąd z okularkami powinien jakoś przejść, ale jeśli zaprzyjaźnisz się z Darusiem, to nie zdasz z historii – wywaliła z grubego działa Martyna.

Martynka zakręciła z zakłopotaniem warkoczyk na maleńkiej dłoni i patrzyła z ufnością na zniszczoną życiem Martynę.

– Rozumiem! – skinęła główką, chichocząc. – Mam nie lubić Darusia, tak?

– Tak! – odetchnęła z ulgą Martyna.

– To nie będzie trudne, bo on jest strasznie głupi! – uśmiechnęła się radośnie młoda.

Nasza cyniczna, stara i lekko pomarszczona Martyna spojrzała z aprobatą na dzieciaka z warkoczykami i ogarniając zachwyconym wzrokiem dobrobyt Mokotowa, nakazała Lewemu natychmiastową deportację na Raj 3.14.

– Ha! – krzyknęła z satysfakcją tuż po lądowaniu w kokpicie. – I sprawa załatwiona! Mogę wracać do domu!

– Jesteś pewna? – zapytał Lewy, niespiesznie kończąc partię literaków.

– A co? – zapytała z niepokojem nasza podróżniczka w czasie. – No, jak znam siebie, to pewnie oleję Darusia, więc on się do mnie nie przyczepi. A jeśli się do mnie nie przyczepi, to Magdusia nigdy nie wytnie numeru z ciotką Marcjanną i historia pobiegnie zupełnie innym torem. Mam rację? – dokończyła błagalnie.

– No... ogólnie masz! Ale pojawiają się pewne komplikacje. To już nie jest twoja przyszłość, tylko małej Martynki, która dorośnie i ułoży sobie życie i gdybyś skoczyła do swojej przyszłości w wieku lat trzydziestu, to okazałoby się, że jest was o jedną za dużo.

– Już wiem, dlaczego Lucjan mówił, że go te podróże w ziemskim czasie przerosły – oświadczyła Martyna, nerwowo gryząc paznokieć kciuka lewej ręki.

– Obawiam się, że niezależnie od tego, czy Ziemia wybuchła czy nie wybuchła, to twoim jedynym miejscem we wszechświecie jest wyłącznie Raj 3.14.

– Nie zgadzam się na to! – ryknęła Martyna, waląc pięścią w blat.

– Nie masz wyjścia – powiedział spokojnie Lewy.

Martyna poderwała się na równe nogi i miotając przekleństwa, kopnęła z całej siły w fotel, który przewrócił się malowniczo, gubiąc nogi.

– O kurwa! – skomentowała nasza niszczycielka.

– Nie przejmuj się! – odparł komputer zblazowanym tonem – Jest jeszcze drugi.

Martyna odwróciła się powoli w stronę Lewego i przez jej nieznacznie tylko smagniętą zmarszczkami twarz przebiegł mgiełką podstępny uśmiech. W kilku ruchach dopadła do drugiego fotela i manewrując dupskiem, podjechała do monitora Jabłuszka.

– Lewy, powiem ci, że nie spodziewałam się po tobie takiej inteligencji.

– Że niby co? Co ty chcesz zrobić? – zająknął się komputer.

– Pomyśl chwilę! – zarechotała bezdomna desperatka.

Martyna skupiła wzrok na monitorze i pospiesznie wyszukała opcję zapamiętania gry. Cofnęła się do głównego menu i z szatańskim śmiechem odpaliła swoją grę ponownie.

– No i sprawa załatwiona! Zdublikowałam grę – wyjaśniła wielce z siebie zadowolona. – Teraz mała Martynka ma swoją rzeczywistość, a ja sobie stworzyłam drugą i zamierzam ją popchnąć o te dwadzieścia parę lat i wreszcie odzyskać swoje życie.

– Ale w tej drugiej grze też jest mała Martynka! – zaprotestował Lewy.

– Trudno! – wycedziła zimno nasza zbawicielka. – Czasem potrzebne są ofiary...

– Co zamierzasz? – zapytał zaniepokojony komputer.

– Dociągnę do trzydziuchy, a potem pozbędę się tej innej Martyny – powiedziała spokojnie nasza bohaterka. – I wskoczę na swoje miejsce.

– Na jej miejsce! – sprostowała maszyna zgryźliwie.

– Nieważne! Dosyć tego! Mnie się też, do cholery, coś od życia należy – wrzasnęła Martyna.

– Niby tak... Ale co zamierzasz zrobić ze swoim klonem?

To pytanie zawisło całym swoim ciężarem w ciszy kokpitu i sprawiło, że Martyna oderwała się na chwilę od Jabłuszka i z zadumą zapatrzyła w błękitną przestrzeń. Było na co popatrzeć. Dzień wygrał właśnie z nocą i dwie oślepiające gwiazdy Układu wtaczały się z mazołem ponad horyzont. Widok był idealną scenerią do wzbudzenia deklaracji głębokiej prawości myśli i jeszcze głębszego humanitaryzmu.

– A w dupie to mam! – wyznała nasza wrażliwa na piękno bohaterka. – Dam ją do poprzedniej gry.

Wrzucę je obydwie do laboratorium, pogrzebię im w mózgach i wmówię, że są bliźniaczkami jednojajowymi.

– No to jest jakaś myśl – skomentował z uznaniem Lewy.

Martyna pochyliła się nad klawiaturą i zaczęła gorączkowo klikać w opcje laboratorium. Po chwili odkryła szereg zaawansowanych opcji, lecz żadnych współzależności pomiędzy odrębnymi grami.

– W mordę, no! – pożałowała się głośno. – Nie mam pojęcia, jak to zrobić!

Lewy szumiał miarowo i ze spokojem oczekiwał na dalszy rozwój wypadków. Martyna miotała się

bezsilnie po programie, coraz bardziej wkurzona.

– No przecież musi być jakiś sposób – powiedziała płaczliwie.

– No jest! – zlitował się miłosiernie Lewy. – Musisz wejść w Internet i ściągnąć pirackie nakładki.

– Właśnie sama na to wpadłam! – zełgała Martyna. – Ale i tak dziękuję – dodała nieco sztywno. Dalej wypadki potoczyły się błyskawicznie: nasza bohaterka ściągnęła nielegalne dodatki, zainstalowała je w grze i niecierpliwie klikając, porwała trzydziestoletniego klona z wersji beta do wersji alfa. Poddała obydwie klony lekkiej modyfikacji pamięci, umieściła je bezpiecznie w realiach pierwszej gry i zapisała zmiany. Chwilę później uruchomiła wersję beta i nacisnęła spację w chwili, w której porwała niczego nieświadomego klona.

– Dobra, nie ma się nad czym zastanawiać! – powiedziała do Lewego. – Natychmiast wyliczaj dane. Spadam do domu.

Komputer nie próbował polemizować. Zaszumiał łagodnie i obiecująco, by po chwili zamilknąć.

– Mam nadzieję, że tego właśnie chcesz, bo od tej decyzji nie ma odwrotu – ostrzegł.

– Zrób to! Natychmiast! – ponagliła. Wyrwała ze Środkowego i z Jabłuszka srebrne kluczyki i stanęła w centrum kokpitu.

Lewy westchnął, lecz wypełnił polecenie. Martyna poczuła znajome drętwienie w okolicach pośladków i już po chwili opadła ciężko na znajomy chodnik przed swoim blokiem. Okręciła się na pięcie i jej oczom ukazał się sąsiedni blok, jak zwykle rzucający cień na podwórko. Słońce wciąż stało wysoko, ale wyraźnie skłaniało się ku zachodowi. Pobliskie bzy zalewały przepychem zapachu zgniliznę napływającą falami z pobliskiego śmietnika, a w drzwiach klatki schodowej zachęcająco bzykały swojskie muchy.

Martyna zorientowała się, że ściska w dłoni siatkę z browarami, a jej nogi wyraźnie rwą się w kierunku schodów. Podeszła ostrożnie, dziwując się w duchu, że jej przytulny blok nie zamienił się w domek z ogródkiem. Wspinając się po schodach, zastanawiała się właśnie, czy jej biedne glonojady jeszcze żyją, gdy z hukiem otworzyły się drzwi mieszkania Szalińskiego.

– Dzień dobry! – zawołał odziany w dres i kapcie Szaliński.

– Dzień dobry – odpowiedziała niepewnie Martyna.

– No to jutro się widzimy, tak? – zapytał sąsiad radośnie. – Tylko się nie spóźnijcie, bo impreza urodzinowa bliźniaków zaczyna się o siedemnastej!

– No tak, oczywiście – wymamrotała nasza skołowana bohaterka i rzucając wymuszony uśmiech, ruszyła ostro po schodach.

Drzwi mieszkania wyglądały dokładnie tak jak zawsze. Martyna pomacała kieszenie w poszukiwaniu kluczy, lecz

przypomniała sobie mgliście, że nie miała okazji zamknąć ich od zewnątrz i z nadzieją nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły bez protestu, więc Martyna weszła ostrożnie do środka.

Właśnie zaczynała się cieszyć w duchu z odzyskanego życia, gdy przed jej oczami wyrósł wysoki blondyn i szurając kapciami, podszedł do niej energicznym krokiem.

– Gdzieś ty była tyle czasu? – zapytał.

– No, po piwo poszłam! – odpowiedziała potulnie Martyna, wyraźnie grając na zwłokę.

– Po piwo? – ucieszył się wyraźnie blondyn. – Przecież ty piwa nie lubisz!

– Ja piwa nie lubię? – zdumiała się nasza piwoszka i ostatecznie rozgrzeszyła się z manewru wyrzucenia wybrakowanego klona do wersji alfa. – No to chyba polubiłam! – dodała, szczerząc zęby.

– I słusznie! – uśmiechnął się facet. – Ale teraz to sobie chyba darujemy, bo dzieciak się budzi.

– Dzieciak...? – zdziwiła się Martyna

– No a co? Dzisiaj ty kąpiesz, a ja karmię! – wyjaśnił blondyn.

Martyna rozejrzała się zdumiona po mieszkaniu i po chwili bez wahania ruszyła w stronę małego pokoju, który w jej rzeczywistości był pełnym pajęczyn składzikiem. Weszła na palcach do środka i zobaczyła małe, pomarszczone COŚ uśmiechające się do niej zza szczebelków drewnianego łóżeczka.

– Jakoś przywyknę – wyszeptała sama do siebie. – Zresztą, jakby co, to mam klucze do Raju – dodała, klepiąc się wymownie po kieszeni.

Dzieciak wykrzywił się w grymasie i rozdarł jak

czołówka „Trąby Jerychońskiej”. Martyna podeszła ostrożnie do łóżeczka i uśmiechając się niepewnie do stworka, znalazła swoją nagrodę pocieszenia.

– Jak by nie było – skomentowała filozoficznie – tutaj też jest piwo!

**Koniec**